

Na scenie teatru Stara Prochownia w Warszawie Zdzisław Wardejn wyreżyserował sztukę „Elio albo wesole towarzystwo” w tłumaczeniu Jacka Fruhlinga, scenografii Xymeny Zariewskiej. Główną rolę kreuje Nina Andrycz, partnerując jej znakomity — jak zwykle — Gustaw Lutkiewicz w towarzystwie doskonałej Anny Ciepielowskiej, Alicji Jachiewicz, Aleksandry Zawiaruszczyki i Wojciecha Siemena. W tym zespole znanych, cenionych aktorów dużą rolę tajemniczego młodzieńca debiutuje wysoki, młody, przystojny i zdolny Artur Kaczmarek. „Dobra aktorska przyszłość przed nim” — powiedziała Nina Andrycz, którą poprosiliśmy o rozmowę.

● Dlaczego obchodzi Pani swoje 53 lata pracy na scenie w Starej Prochowni? Czy dyrektor Pani macierzystego Teatru Polskiego, w którym Pani jest najwybitniejszą aktorką nie zauważył, że pół wieku i pięć lat na jednej i tej samej scenie jest w historii teatru zdarzeniem bez precedensu? Więc dlaczego?

— Dla bardzo prostej przyczyny: właśnie kolega Wojciech Siemien znalazł odpowiednią dla mnie rolę. W dramaturgii XX-wiecznej wyszukać interesującą a w doświadczeniu prowadzącą rolę kobiecą, to naprawdę niełatwe zadanie.

● Czy koalicznie dramaturgia współczesna?

— Bohaterki w kryzysach na scenie Teatru Polskiego nagralam się swego czasu dość, teraz z radością wcielam się w postać kobiety współczesnej.

● Jaka to kobieta?

— Dowcipnie warszawicy mówią, że dramaturg szwajcarski Otto Walter stworzył

te postać z myślą o mnie. I trudno nie przyznać im racji. Wrażliwa, inteligentna Francuzka poszukująca bogatemu szwajcarskiemu właścicielowi aptek — nie czuje się dobrze w mieszczańskim środowisku męża. Z natury obdarzona bogatą wyobraźnią buntuje się przeciw „wesolemu” towarzy-

stwu, w którym musi przebywać ze względu na pozycję męża. Z czasem ucieka coraz częściej w świat własnych romantycznych urojeń o wielkiej miłości. Mąż nazywa ją pobłażliwie panią Bovary (także bardzo bliska mi rola, przed laty grałam ją w Teatrze TV). Stopniowo moja bohaterka dochodzi nieomal do rozwójki — stany psychiczne, wiem, że są one bardzo interesującym materiałem dla aktorstwa.

● Jaka Pani jest naprawdę poza sceną?

— No cóż. Dobrze rozumiem kobiety rozwijane, wahające się między niezadowolają-

cą codziennością a pięknym marzeniem. Sama bywałam obojętna w takiej sytuacji.

● Co było codziennością a co marzeniem?

— Marzeniem była wielka miłość, a codziennością obowiązki żony lub tylko przyjaźń z mężczyzną. Zresztą w mojej książce, która ma się ukazać w czerwcu, jest rzetelne sprawozdanie z moich młodzieńczych marzeń.

● W tytule książki będącej Pani debiutem prozatorskim figuruje to właśnie słowo „Mojemu” — o kim tam jeszcze będzie mowa?

— Nie tylko o mnie. Także o Nim — człowieku, którego

kochałam, a który zginął tragicznie w czasie wojny. Także o dwudziestoletnim chłopcu, któremu niechęć złamała życie.

● Czy jest to Pani autobiografia?

— O, nie. Posłużyłam się tylko pewnymi materiałami autobiograficznymi i to z okresu wczesnej młodości. Rzecz się zaczyna w momencie wstąpienia Anny — tak ma na imię bohaterka — do szkoły dramatycznej, a kończy wybuchem wojny. Fakty przeplatają się z fikcją literacką. Nie ma to nic wspólnego z egocentrycznymi memuarami wypisywanymi na własną cześć.

● A więc trafiła Pani w ten bardzo atrakcyjny rodzaj pracy obecnie wysoko ceniony przez czytelników, uprawiany np. przez Forsyth'a i innych autorów, którzy mieszają realia z wyobraźnią. Czy jest dla Pani pisarstwo?

— Potrzebą wewnętrzną. Uważam nieukromnie, że chyba mam coś do powiedzenia.

● Ale Pani pierwszym zawodem jest aktorstwo. Po 53 latach pracy na scenie, kolekcji ról, jakie włożyła do historii teatru — czy może Pani wyjść z gady?

— Absolutnie nie. I stąd się bierze ogromna frustracja naszego środowiska. Narzekaliśmy na mecenat państwa. Istot-

— Bo ja wiem... Może recepta dyrektora Szyfmana: dwie dobrze napisane bulwarówki mogły sfinansować „Kordiana” w inscenizacji Schillera. Tyle że dziś Schillera nie ma. Jest duża posucha reżyserska niestety. Pisała o tym koleżanka Krystyna Janda w „Przekroju”.

● Z punktu widzenia widni to rzeczywiście



Fot. ZOFIA NASIEROWSKA

Wielka rola na małej scenie

Rozmowa z NINĄ ANDRYCZ

nie narzucał on nam swoją wolę dla swoich celów. Mecenat był więc uciążliwy. Natomiast dziś, kiedy się zaczął kapitalizm a la polonaise twórcy pogłupieli, niepewni jutrzejszego dnia. Aktorzy również. Wiadomo bowiem, że ani ministerstwo, ani wojewoda nie mają pieniędzy. Tymczasem wszystkie powinne sceny dramatyczne z Comedie Francaise na czele były i są dotowane. A u nas na demiar władz wyrafinowany teatr publiczności i zaciętą walkę o przetrwanie.

● Co byłoby Pani zdaniem receptą na przetrwanie?

wolałabym obejrzeć dobrą bulwarówkę np. „Keana” Dumasa nie paść ofiarą talosnego „Śniegu” Przybyszewskiego w Teatrze Kameralnym.

— Słyszałam, że do „Keana” przymierza się Daniel Oubrychski. Ja widziałam w tej roli Józefa Węgryna — jeszcze jak chodziłam do szkoły. Boże, jakież on miał głos...

● Wybaczy Pani przeróżnie banalne, ale jednak niezbędne pytanie: nad czym Pani pracuje?

— Doszłabym jeszcze rolę w „Elio albo wesolym towarzystwie” z dużą przyjemno-

ścią dla mnie kwitowaną przez publiczność kwiatami i brawami — i naczytuję dużą, ciekawą rolę aktorki dla Teatru Polskiego Radia. Będzie to słuchowisko pt. „Mgła” według opowiadania Jadwigi Skotnickiej, występuje pięciu wspartych aktorów i ja. Adaptacja moja, reżyseria Henryka Rosena.

● Wynika z tego, że nie jest Pani obecna także trudna sztuka adaptacji radiowej. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
BOŻENA ZAGÓRSKA